

Penelopy znad Prutu z kryzysem w tle

Wojciech Śmieja

Cztery kobiety, cztery prywatne historie. I wspólna historia szukania polskich korzeni i polskości w Mołdawii.

Helena urodziła się w mieszanej polsko-rosyjskiej rodzinie w dalekowschodnim Chabarowsku. W położonych na północy Mołdawii Bielcach znalazła się w połowie lat siedemdziesiątych. Dla Polaków (według dzisiejszych szacunków około 10 tysięcy osób) w Mołdawskiej SRR miejsca nie przewidziano, więc zanim zorientowała się, że w jej mieście mieszka ich wielu, minęło niemal dwadzieścia lat.

W tamtych czasach nikt do kwestii narodowości nie przywiązywał wagi. W rozmowie z każdą z kobiet słyszę: Lilia ze Styrczy, Helena z Bielc, Ludmiła z Komratu.

Wanda

Styrczę nazywają w Mołdawii „małą Warszawą” i trudno powiedzieć, ile w tym dumy, a ile ironii. Duma mogłaby wziąć się stąd, że to jedyna wieś niemal w stu procentach polska, zasiedlona w 1896 roku przez zubożałą do szczytu polską szlachtę z okolic dzisiejszego Kamieńca Podolskiego i Chocimia. Ironia zaś stąd, że wieś robi przygnębiające wrażenie: polityczną decyzją z lat sześćdziesiątych uznano ją – mimo że kołchoz był najlepszy w okolicy – za „nierozwojową” i od tamtego czasu zaniechano jakichkolwiek inwestycji. Skutkiem tego był brak szkoły, wodociągów, kanalizacji. Gazyfikację przeprowadzono dopiero w 2003 roku, chodników czy asfaltu nie ma do dziś. Zimą brnie się przez mokrą breję, latem trzeba przebijać się przez tumany pyłu, wiosną i jesienią samochodem nie wjedziesz. Mieszka tu około trzystu osób.

Kierowniczką miejscowego Domu Polskiego i nauczycielką języka jest Wanda Burak. W ubiegłym roku przeszła na emeryturę. Miała wracać do Polski, do rodzinnej Jedliny-Zdroju, ale została.

– Emeryturę mam niską. Tu za te pieniądze lepiej będę żyć – mówi z uśmiechem. – Na ten rok zostałam w Styrczy jako wolontariuszka.

W Mołdawii jest od 1993 roku.

Drobna kobieta z wyrazem dziecięcego zdziwienia w oczach i życzliwością nie sprawia wrażenia niepokornej, ale taka właśnie jest.

Na początku lat dziewięćdziesiątych czuła się zagubiona, choć pracę w szkole w Polsce skończyła na stanowisku dyrektora. Na szczęście otworzyła się możliwość wyjazdów na Wschód. Początkowo miał być Kazachstan, ale koleżanki odradzały: „Co ty taka drobna w tym stepie będziesz robić? Nie poradzisz sobie”.

Mołdawia jest bliżej.

Trafiła do Bielc, brzydkiego zrusyfikowanego miasta na północy kraju. Wielu mieszkańców ma polskie korzenie, ale tradycję i religijność pielęgnuje tylko parę *babuszek*. W pracy pomaga jej miejscowy proboszcz Jacek Puć, który do Mołdawii przyjechał w 1990 roku.

W Bielcach założyli Stowarzyszenie „Dom Polski”, które w 1998 roku doczekało się okazałej siedziby z kilkoma salami lekcyjnymi, salą prób, biblioteką. Nieco wcześniej zaczęła wychodzić „Jutrzenka”. W latach dziewięćdziesiątych na lekcje polskiego przychodziło więcej uczniów, ludzie przypominali sobie rodzinne historie. Uczniowie Wandy skończyli szkołę, zdali maturę, studiowali, a potem zamieszkali w Polsce.

W styczańskim Domu Polskim wszystko lśni. Klasa urządzona i wyposażona na medal. Na ścianach styczańskie pejzaże – dziewczyna stąd studiuje malarstwo w Kiszyniowie i to właśnie jej prace tu wiszą.

– Tylko proszę nie myśleć, że przyjechałam na gotowe – uprzedza Wanda.

Jest w Styczy od 2002 roku, przyjechała tu, kiedy w Bielcach wszystko było już zrobione.

– Na początek dali mi stary dom ze studnią. Była tak mała, że wodę nabierałam czajnikiem. Zanim napełniłam wiadro, osiem razy musiałam kręcić – wspomina.

Czy tęskni?

– Do Polski jeżdżę na Boże Narodzenie i wakacje. Myślę, co będzie, jak wrócę? Pewnie zatęsknię za Styczą i będę tu z kolei przyjeżdżać na wakacje.

Lilia

Lilia Górska mogłaby służyć za sewrski model mołdawskiej Polki. Jej przodkowie znaleźli się wśród tych, którzy kupili pięćset dwie dziesięciny ziemi od rosyjskiej magnatki i założyli Styczę. Pewnie po nich odziedziczyła upór, wytrwałość i sporo przedsiębiorczości. Zgodnie z niepisаныmi zasadami panującymi wśród styczan poślubiła Polaka z jednej z sąsiednich wiosek, takiej, w której zatracili czysto polski charakter i tradycje.

Stycza była wioską nierozwojową za karę. Władze radzieckie niechętnie patrzyły na to, że rodzice dzieciom przekazują polską tożsamość. Chciałoby się tu napisać, że Stycza to reduta Ordon, że wybrała „dumne wygnanie”, ale nic z tego. Powojenne pokolenie zaczęło mieszać się z Mołdawianami, Rosjanami, Ukraińcami. Władza wygrała

i ludzie wyjeżdżali ze skazanej na śmierć wioski do pobliskich Bielc, Kiszyniowa i dalej. Nikt nie może mieć do nich o to pretensji.

Lilia również wyjechała, we Lwowie studiowała psychologię, ale wróciła.

Mieszkają teraz z mężem w domku na początku wsi. Nie przelewa się, ale trójka dzieci studiuje – dwoje medycynę, najmłodszy syn gastrologię. Mają swoją winniczkę i staw.

– Kiedy pani zwariowała? – pytam, bo to, że zwariowała, wiem na pewno.

– W 2002 roku chyba.

Szałość Lili polega na tym, że w pokółchozowej wiosce, która w niepodległej Mołdawii umiera dokładnie tak samo, jak w schyłkowym *Sojuzie*, i o którą nikt by się nie upomniał,

Lilia postanowiła stworzyć prawdziwą atrakcję turystyczną – muzeum.

– Kiedy rodzice umarli, zobaczyłam, że świat się zmienia i nowe przychodzi bez litości dla starego. Nikt nie jest w stanie temu zapobiec. Chciałam, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, jak wygląda maselnica albo makutra, co i jak wyszywały babki, w czym gotowały.

Muzeum powstało w domu dziadków Lili. Zaczątek kolekcji stanowiły zachowane przedmioty z domu. Jest stół z początku wieku – solidny, piękny mebel, który aż nie pasuje do skromnej reszty. Są dokumenty, archiwalia i zdjęcia ukazujące losy Styrczy i jej mieszkańców, i wiele, wiele innych rzeczy: garnków, flakonów po dawno zwietrzałych perfumach, abażurów i świętych obrazków.

– O proszę, za ten klosz od lampy mąż oddał sześć litrów samogonu, a za ten stary telewizor prosiaka – opowiada Lilia.

Ludzie początkowo pukali się w czoło, ale czas pokazał, że Górska jest górą. Pierwsze zaczęły przekonywać się dzieci ze wsi, dla których Lilia robiła lekcje muzealne. Potem przyjechali dziennikarze i opisali ją w gazecie, była telewizja z Polski, pojawili się turyści.

Nagle okazało się, że Styrcza ma się czym chwalić, co pokazać, a przyjezdni szukają kwater, czegoś do zjedzenia, chcą porozmawiać, poznać, samochód gotowi wynająć. W kraju, gdzie pensja to często równowartość pięćdziesięciu euro, tych parę groszy zostawionych za nocleg to poważna kwota.

Miejscowe władze ją znają, więc poparły w Ministerstwie Kultury, które muzeum Górskiej uwzględniło w odpowiednich rejestrach, dało urzędową tabliczkę, a założycielkę uczyniło kustoszem. Dostaje wspomniane pięćdziesiąt euro, ale mają obciążenie o połowę, bo kryzys. Lilia go nie dostrzega.

– Chciałabym rozwijać agroturystykę, kąpielisko zrobić, szlaki poznać – wylicza.

Rozmarzyła się, bo na razie w polskiej Ambasadzie odrzucili jej wniosek o sto euro na zakup gabloty. Kryzys, mówią.

W Gagauzji nie jest łatwo. Ludzie ledwie wiążą koniec z końcem. Wszystko, co mają, jest wyszarpane, wyciśnięte z życia.

Helena

Helena nie jest ani stąd, jak Lilia, ani z Polski, jak Wanda. Dla zsyłanych Polaków, takich jak jej dziadek, absolwent krzemienieckiego liceum, Syberia była przekleństwem. Dla niej, urodzonej tam w połowie Rosjanki, Syberia i Daleki Wschód to szczęśliwy kraj lat dziecińczych, gdzie chętnie by wróciła, ale jest za późno.

– Wszystko przez panią Wandę – mówi ze śmiechem. – Nakłoniła mnie, żeby do Polski jechać. Na radzieckim paszporcie już nie było można, więc szybko wyrobiłam mołdawski. I tak zostało.

Dziadek został na Syberii jako *nowosielec*, pracował jako księgowy na kolejowych *strojkach*, mama była inżynierem kolejnictwa. Trzypokoleniowa rodzina

robiła wszystko, by wrócić do wytęsknionego Krzemieńca. Stąd mołdawskie Bielce, do których Helena przyjechała jako nastolatka w połowie lat siedemdziesiątych.

Spotykamy się w redakcji „Jutrzenki” w bieleckim Domu Polskim. Mamy mówić o terażniejszości, ale rozmowa naturalnie ciąży ku przeszłości, jakby Helena musiała wytłumaczyć się z tego, że robi to, co robi, mieszka tu, gdzie mieszka, mówi, jak mówi. Jej polszczyzna jest absolutnie poprawna, choć bardziej śpiewna. Ten język odziedziczyła po krzemienieckich krewnych, u których spędzała wakacje. Mołdawskiego nie zna.

Helena skończyła studia na politechnice w Odessie, mieszkała i pracowała w Bielcach. W 1992 roku znalazła

ogłoszenie o kursie języka polskiego.

Musiała być wybitną uczennicą, bo to właśnie jej ksiądz Jacek i pani Wanda zaproponowali współpracę przy redagowaniu pierwszych, kserowanych numerów „Jutrzenki”. Zajęła się tym na serio – pracując w banku jako informatyk, miała komputer. Na „Jutrzence” i dla „Jutrzenki” uczyła się składu i edytorstwa.

„Jutrzenka” na początku miała zaspokajać potrzeby bieleckiej Polonii. Do dziś, choć zbliża się do sto pięćdziesiątego numeru, nie wszystkim podoba się, że dociera wszędzie i opisuje wszystkie polskie środowiska w Mołdawii, stara się zaspokoić ich potrzeby: informuje o bieżących wydarzeniach, zapoznaje z tradycją i obrzędami, ma kącik językowy i krajoznawczy, angażuje dzieci i młodzież do udziału w różnych konkursach, skrętnie gromadzi zapisy z przeszłości. Artykuły ukazują się po polsku i po rosyjsku.

Helena jest samodzielną kobietą z dobrym jak na Mołdawię fachem: składa książki, gazety, ulotki. „Jutrzenkę” robi popołudniami, społecznie. Stara się

Rzeczy, które w Polsce nie są czymś specjalnym, w Mołdawii stanowią nie lada osiągnięcie, jak multimedialna sala lekcyjna. Dyrekcji szkoły nie stać na szkolarza, więc okna są zasłonięte dyktą.

angażować młodzież i studentów, nie tylko z Bielc, ale także z Kiszyniowa czy Komratu. Podziela moje odczucie, że tworzenie jest tu zarazem unicestwianiem, jak tkanie chitonu przez Penelopę.

– Polska zorientowała się, że młodzi ludzie, którzy wyjeżdżają studiować, nie wracają do Mołdawii. Sytuację ma poprawić stypendium „Semper Polonia” dla studiujących na miejscu, bo wyzwanie polega na tym, żeby nie wyjeżdżali. Problem w tym, że młodzież, która zostaje, nie jest aktywna i nie wiemy, jak to zmienić. Ci, którzy chcieliby wrócić, nie mają pracy. Nawet ksiądz Jacek, który wszystko tu budował, mówi, żeby nie wracali.

Ludmiła

Gagauzja to autonomiczny okręg na południu Mołdawii. Zamieszkuje go sto pięćdziesiąt tysięcy Gagauzów, tajemniczego ludu, o którym mówi się, że są sturczonymi Bułgarami albo prawosławnymi Turkami, ale to nic pewnego. W każdym razie na czarnomorskie stepy Mołdawii – Budziak – sprowadzili ich carowie na przełomie XVIII i XIX wieku z terenów dzisiejszej Bułgarii. Na czele Gagauzji stoi baszkan, obecnie jego funkcję pełni Mihail Formuzal. W grudniu ubiegłego roku najwyższym odznaczeniem gagauskim uhonorował zasłużonych dla autonomii: byłych prezydentów Mołdawii Mirceę Snegurą i Petru Lucinschego, prezydenta Turcji Sulejmana Demirela i Ludmiłę.

Ludmiła Wolewicz jest półkrewi Gagauzką i jej prezesowanie Stowarzyszeniu Polaków Gagauzji rozpoczęło się od przypadkowo rzuconej uwagi *primara* (burmistrza) Komratu, stolicy autonomii.

– Kilka lat temu na jakimś spotkaniu ambasador Piotr Marciniak zapytał *primara*, jak to jest, że Polacy mieszkają na północy i w centrum Mołdawii, a nie ma ich na południu. Na to *primar* przypomniał sobie, że do nas rodzina z Polski przyjeżdżała, i mówi: „Jak to nie ma? Są”. Parę dni później *primar* odezwał się do mnie. Daliśmy ogłoszenie w lokalnej telewizji. Sama byłam zaskoczona, gdy przez pierwsze dwa dni pięć osób się zgłosiło. Teraz mamy ponad dwieście.

Polaków w Gagauzji odkryła Ludmiła, ale ich dzieje domagają się naukowego opracowania. Byli tu ponoć o stulecie wcześniej niż ci ze Styrzycy. Dość powiedzieć, że wiele osób uważających się za Gagauzów nosi nazwisko Nowak.

– Ale są starzy ludzie, którzy wiedzą, że są Polakami, nawet w papierach polskość mają. Chodzę do nich i pytam, ale ludzie tu nauczeni kryć się. Pytają: „Na co to? Po co?”. Ja im mówię, że jakąś pomoc można by zorganizować, lekarstwa, paczki, ale wielu i tak nawet wspominać nie chce. Szkoda.

Ludmiła dobrze mówi po polsku, bo od końca lat sześćdziesiątych spotyka się z rodziną albo w Polsce, albo tu, w Gagauzji.

– Rodzinę mam w Łodzi, w Zgierzu, w Aleksandrowie Łódzkim, ale pochodzą z terenów Białorusi. Do Polski przeprowadzili się w 1953 roku, kiedy tata był w wojsku i jego nie puścili. Tam poznał mamę, Gagauzkę. Dziadkowie jej nie zaakceptowali, bo nie katoliczka. Dopiero po śmierci dziadka babcia zaczęła szukać i od 1968 roku jeździliśmy do siebie nawzajem.

Z dzieciństwa pamięta Wigilie, biały obrus i puste nakrycie.

– Pytałam, co to znaczy, a tata ciągle, że zrozumie, jak dorosnę. Może nie mógł powiedzieć? Na Wigilię przychodził stary Cygan, siadał na tym wolnym miejscu, a potem grał na skrzypkach.

Dzięki energii Ludmiły udało się w komrackim ogólniaku otworzyć polską klasę i wyremontować pomieszczenie. W polskiej skali nie jest to może wielkie osiągnięcie, ale multimedialnie wyposażona sala w budynku, w którym zamiast szyb w wielu oknach jest dykta, bo dyrekcji nie stać na szklarza, robi wrażenie. Przez trzy lata były nawet nauczycielki z Polski, ale teraz kryzys i nie ma.

Nie będzie nauczycielki, to cały wysiłek pójdzie na marne. A wszystko, co zrobili – klasa, zespół taneczny, wyjazdy do Polski, udział w przeglądach i festiwalach – jest wyciśnięte z życia, wyłudzone, wydrapane, bo w Gagauzji nie jest łatwo. Żeby związać koniec z końcem, Ludmiła stoi na targowisku, gdzie ma stragan z odzieżą, którą przywozi z hurtowni aż z Odessy, po nocach szyje pieluchy i śpioszki. Właśnie dziś znalazła kupca, który będzie brał większe partie towaru. Jej mąż Władysław, do niedawna pracownik komrackiego uniwersytetu, też pracuje, gdzie się da i jak się da, bo córka i zięć pracy nie mają, a właśnie urodziło im się dziecko.

Syn Wolewiczów studiuje informatykę we Wrocławiu.

– Grosza z domu nie weźmie – opowiada Ludmiła – ale też trzeci rok do domu nie przyjeżdża, bo ani jego, ani nas nie stać na podróż. On do Mołdawii nie wróci. Tu sami starzy ludzie zostają. Rozmawiałam z ambasadorem. Chciałby, żeby polska młodzież tu wracała i pracowała, zmieniała ten kraj. A ja go pytam, czy chciałby, żeby jego dziecko tu zostało. Nic nie powiedział. 🏠

Wojciech Śmieja jest literaturoznawcą, pracuje w Wyższej Szkole Ochrony Pracy w Katowicach. Autor przewodnika turystycznego po Mołdawii. Publikował w „Polityce”, „Przeglądzie”, „Pograniczu”.